Przyjaciel Ludu.

Leszno No. 37. dnia 18. Marca 1835.



Zaślubienie Doży weneckiego z morzem.

Po morzu tem szedł okręt, sprawnem cięty dłótem,
Ujaśniony farbami i lśniący się złotem,
Wiatrom on igrającym bisiory nadstawiał:
W takim się wódz Wenetów uroczyście pławiał,
I na takim zaślubiał Adryańskie wody,
Wprzód, niż mu poniewolne dał Francuz rozwody.
(Trembecki.)

Ze wszystkich uroczystości miasta Wenecyi, żadna nie była tak prawdziwie narodową, żadna nie malowała lepiéj owéj żądzy zabaw i politycznéj rachuby, jak zaślubienie Doży z morzem Adryatyckiem. Przy końcu XII^go^ wieku, wśród najważniejszych zdarzeń, sławna ta uroczystość wzięła swój początek.

Cesarz niemiecki Henryk IV. i papież Grzegorz VII, zostawili następcom swoim w dziedzictwie spory o prawa, służące stolicy apostolskiéj i cesarskiéj koronie, równie jak o to, kto ma panować we Włoszech. Długo trwające zatargi przeszły na Alexandra III. papieża, i Fryderyka rudobrodego. Pomijamy tu zacięte boje, toczone z tego powodu z różnem szczęściem, w których władze duchowna i świecka wszelkich używały sposobów, aby koniecznie jedna nad drugą stanowcze odnieść zwycięztwo, gdy raz papież jako pielgrzym przebrany z Rzymu uciekać musiał, drugi raz znowu Fryderyk pod przybranem nazwiskiem przeprawiał się przez Alpy; dosyć będzie wspomnieć, że Alexander przerażony wyrokiem cesarskim, zakazującym pod karą śmierci, aby mu nikt we Włoszech ani ognia ani wody podać się nie poważył, przybył nakoniec do Wenecyi (roku 1176) żądając przytułku, i tą razą przy pomocy rzeczypospolitéj zupełne nad swym nieprzyjacielem odniósł zwycięztwo.

Alexander okazał się wdzięcznym: nadawszy Doży weneckiemu prawo, aby przed nim noszono zapaloną gromnicę, szpadę, baldachin, krzesło, wezgłowie złotolite, trąby i chorągwie, darował mu nadto obrączkę złotą, dodając te słowa: „Przyjm to odemnie, jako znak panowania nad morzem Adryatyckiem: ty Dożo i twoi następcy, zaślubiajcie je corok, aby potomność wiedziała, że to jest wasza własność, nabyta prawem oręża: aby odtąd powolne było na wasze rozkazy, jak żona małżonkowi.“ Słowa te pożądanem były hasłem dla dumy i polityki Wenecyan: umieli oni z tego korzystać: na tych słowach papiezkich zasadzali prawo do wyłącznego panowania nad morzem Adryatyckiem, które swą zatoką, swą siedzibą nazywali, zabraniając na niém żeglugi wszelkim statkom wojennym obcych narodów. Naprożno miasta nadbrzeżne powstawały przeciwko temu przywłaszczeniu wspólnego niegdyś żywiołu, napróżno sami papieże protestowali późniéj przeciwko tak opacznemu tłumaczeniu słów Alexandra: „Nie pojmuję tego wcale, mówił Paweł IV, jakim sposobem Wenecyanie mogą przywłaszczać sobie panowanie na odnodze Adryatyckiéj: corok w méj bulli wyklinającéj rozbojników morskich, powtarzam słowa: „nasze Adryatyckie morze.“ Wenecya nie zważała wcale na te przedstawienia: corok, aż do upadku rzeczypospolitéj, Doża odnawiał prawo do téj dzierżawy przez symboliczne z morzem zaślubienie, i nigdy nie było zazdrośniejszego małżonka nad Dożę Weneckiego.

Właśnie w dzień Wniebowstąpienia, jako w rocznicę odniesionego nad flottą Fryderyka zwycięztwa, obchodzono tę uroczystość zaślubienia. Lecz ponieważ obchód ten zupełnie był morskim, gdy oblubienica, niepokojona burzą, złego zdawała się być humoru, odkładano uroczystość od niedzieli do niedzieli, aż do Zielonych świątek, a potem od dnia do dnia. A ponieważ majtkowie życiem swojem odpowiadali za całość Doży i jego orszaku, a kupcy w tym czasie dla wielkiego natłoku ludu, znaczne odnosili korzyści, przeto nic dziwnego, że zawsze żądali przedłużenia. — Gdy nakoniec na dzień wyznaczony wyjaśniło się niebo, a morskie ułagodziły się bałwany, cała Wenecya czyniła przygotowania na tę wesołą, a oraz wspaniałą uroczystość. Na wieżach wszystkich kościołów zatykano narodowe znaki; na wierzchołkach trzech masztów wystawionych na placu Ś^go^ Marka, powiewały zdobyte chorągwie z Cypru, Kandyi i Morei, a Bucentaur opuszczając Arsenał, udawał się do Doży wśród huku dział, odgłosu dzwonów i okrzyków upojonego radością ludu.

Bucentaur, pojazd weselny Doży, jak to na rycinie oglądać można, był to galar o dwóch pokładach, bez masztów i żagli, mający 100 stóp długości, a 20 szerokości. Niższy pokład mieścił 52 wioślarzy; wyższy zaś pokryty był sklepieniem przedziwnéj roboty, bogato wyzłacanem. Trzy rzędy figur po bokach i w środku, unosiły na sobie sklepienie, dzieląc je na dwie galerye, na około których były krzesła dla senatorów.

Na przodku okrętu, zakończonym w formie dzioba, ozdobionym figurą lwa złotego, powiewała

bandera Sgo Marka. Liczna orkiestra zabierała miejsce pod namiotem ze szkarłatnego jedwabiu. Liny były plecione z kwiatów: najpiękniejsze płaskorzeźby zdobiły boki tego statku, który bez władzy i bez najmniejszéj przeciwko gwałtownym wiatrom i morskim bałwanom obrony, bujał bezpiecznie po spokojnéj powierzchni morza, kołysanéj lekkim tylko zefirem.

Skoro Doża okryty wspaniałym płaszczem, zasiadł wśród świetnego orszaku, kapitan arsenału, pełniący obowiązki sternika, zajmował miejsce u steru; Bucentaur otoczony mnóstwem statków, jakie tylko miała Wenecya, zaczynał naprzód postępować: tak więc płynął wspaniale wśród huku dział, odgłosu dzwonów, trąb i kotłów ku kanałowi Lido. Przybywszy na miejsce, gdzie leniwa lagun Weneckich woda, zaczyna się mieszać z bałwami Adryatyckiego morza, rzucał kotwicę, i wtedy zaczynały się obrządki zaślubienia. Przepisane odprawiwszy ceremonie patryarcha Wenecki, błogosławił morze, kropiąc je święconą wodą. W tem powstaje Doża, a biorąc z rąk mistrza ceremonii złotą obrączkę, rzucał ją w morze, mówiąc: „Zaślubiamy cię, morze, na znak prawego i wiecznego panowania nad tobą.“ Poczem natychmiast zagrzmiała muzyka, z dział dawano ognia wśród radosnych ludu okrzyków; a zewsząd rzucano w morze kwiaty, wieńcząc niemi, jak się lud wyrażał, nowo zaślubioną oblubienicę. Bucentaur wracał potem z całym tym świetnym orszakiem do miasta, a uroczystość kończyła się nabożeństwem w kościele, na którem sam patryarcha zwykł był celebrować. Tańce, widowiska, gonitwy i wszelkiego rodzaju publiczne igrzyska następowały potem: lud zabaw chciwy, oddawał się zupełnie rozkoszy i hucznéj wesołości.

F. Z.

Zamek Ostrogski.

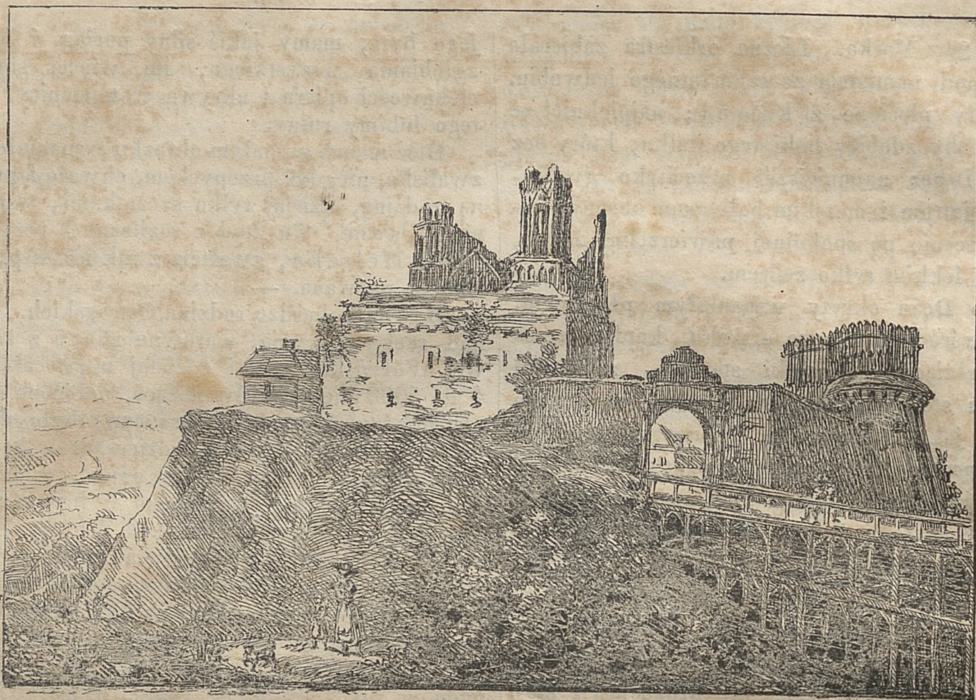
Czem dla pamięci wszystkie narodów zdarzenia, wszystkie zeszłe wieki, i cienie nawet wielkich ludzi; tem dzieła ich ręki, w smutnych pozostałe szczątkach, są dla oka naszego, — tylko ruiną, pamiątką. Wszyscy lubimy słuchać dawnych dziejów, patrzeć na starożytne zwaliska; ale wszelkie wspomnienia, bardziéj nas jeszcze zajmują, gdy z niemi uczucia połączyć możemy, i w nich znaleść to właśnie, co bliżéj serc naszych dotyka. — W pierwszem spojrzeniu na ogrom świata, widzimy w koło ślady zniszczenia, i w drodze życia, wszędzie niemal świeże znachodzim ruiny; jednakże do wszystkiego, cokolwiek wyszło już z granic naszego życia i swojego bytu, mamy jakiś silny pociąg, i skłonność zgłębiania wszystkiego, im więcéj się naszéj ciekawości opiera i ukrywa w tajemnicy. — Dla tego lubimy ruiny.

Otóż mamy w małym obrazku wspaniałe zamku zwaliska, niegdyś przepychem, chwałą i przemożną rodziną, dzisiaj tylko szczątkami, wspomnieniem sławne. Tu ztąd z rozlicznych przygód pamiętna Helszka, gwałtem z rąk matki przez kochanka porwana. —

Dawna to bardzo rodzina Ostrogskich. Ostróg nad rzeką Horynią, warowne miasto z zamkiem we Wołyńskiéj ziemi (dzisiaj miasteczko około 4 do 5000 mieszkańców liczące, położone na trakcie między Kijowem i Brodami) było dzielnicą niegdyś książąt Ruskich, dzierżących berło halickie, którzy podług Gwagnina pochodzili od Romana książęcia, pokonanego w bitwie pod Zawichostem. Panowali oni nad Łucką, Włodzimirską i Przemyską ziemią, a zostawszy potém podwładnymi królom polskim, ograniczeni zostali w posiadłościach swoich na Zasławicach, Dubnie i Ostrogu, od którego przyjęli nazwisko książąt Ostrogskich. Przyjęcie nazwiska tego przypada na rok 1340, kiedy Daniel Wasiłowicz, synowiec Daniela króla Halickiego, pierwszy książęciem na Ostrogu pisać się zaczął, jak Niesiecki świadczy.

Dom ten oddawna z wojowników sławny, na początku XVI. wieku wydał Polsce Hetmana, który zwycięztwami swemi przyczynił blasku i chwały niemało panowaniu Zygmunta I. Konstanty, mówię, książe na Ostrogu, syn Iwana, w którym już za młodu niepoślednie dostrzegał zdolności stary Hetman Litt. Piotr Biały. On to w trzydziestu trzech bitwach zwycięzca a w dwóch tylko zwyciężony, pod Wiedrożą i Sokalem, wyrwawszy się z niewoli, umiał się pomścić odniesionych obelg, i wnet w stoczonéj bitwie pod Orszą, wypłacić krzywdy sowitym odwetem. Późniejsze jego wreszcie na Tatarach zwycięztwa pod Wiśniowem, Słuckiem, Kamieńcem, Pińskiem i tyle innych świetnie zakończonych wypraw, szczęśliwie stoczonych bitew, stawiają go w rzędzie najwaleczniejszych Hetmanów. Jego te wnuczką była wyżéj wspomniana Helszka. Konstanty bowiem xiąże na Ostrogu, gorliwy wyznawca wiary greckiéj, nieunijackiéj, miał za żonę Alexandrę, córkę Siemiona Olelkowicza, xiążęcia Słuckiego, z któréj zostawił dwóch synów: Eliasza (Jlia u Górnickiego) i Konstantyna, tudzież córkę Konstancyą, daną w małżeństwo Koszerskiemu, staroście Łuckiemu. Jlia ożeniony z Beatą Kościelecką *) miał z niéj jedyną córkę

*) Była ona córką Katarzyny z Szląska, oblubienicy Zygmunta I. (podług Górnickiego). Z niéj miał syna Janusza, który tytuł xiążęcia nosił, a oddany stanowi duchownemu, wprzód biskupstwo Wileńskie, potém poznańskie posiadał. Tenże król wydał ją za Koscieleckiego podskarbiego, człowieka pełnego talentów i biegłego ekonomika; jemu bowiem, i Krzysztofowi Szydłowieckiemu winien był Zygmunt I. dostatki, z których skarb po Olbrachcie



Zamek Ostrogski.

Elżbietę (Helszką przez Górnickiego zwaną) która po śmierci ojca swojego, została w opiece króla, Zygmunta Augusta. Pomiędzy wielu zaletnikami, starał się o jéj rękę i Dymitr xiążę Sanguszko; ale niemogąc uzyskać zezwolenia matki, przybywa zbrojno na Zamek Ostrogski, z Wasilem xięciem Ostrogskim, i mimo matki oporu, bezwzględny na jéj złorzeczenia, przemocą córkę jéj wydziera, ślub bierze i do Czech ujeżdża, unikając królewskiego gniewu. Ale w Knyszynie wytacza się skarga przed króla, na obżałowania matki xiężnéj Ostrogskiéj. Za nią mówił Czarnkowski; nieprzytomnego Dymitra, Odachowski, szlachcic litewski bronił. Stanął nakoniec wyrok na Sanguszkę, wyjmujący go z pod opieki prawa, i ogłaszający wywołanym z kraju na zawsze; Marcin Zborowski Kasztelan Kaliski udał się w pogoń za Dymitrem, i doścignął z nowo zaślubioną Helszką w Jaromirzu, miasteczku czeskiem. Tam kiedy pierwszy odebrać xiężną, drugi bronić żony usiłuje, w zaciętym sporze pada ostatni *) a Zborowski z Helszką do matki powraca, która lękając się podobnych na przyszłość wypadków, bawi przy królowéj Bonie.

(Koniec nastąpi.)

i Alexandrze zastał ogołocony: a które mądrą administracyą pomnożyć, i na pożytki kraju obracać umiał. Z téj więc Katarzyny była wyżéj wspomniana Beata, starannie chowana na dworze Bony, jak nam tenże Górnicki podaje.

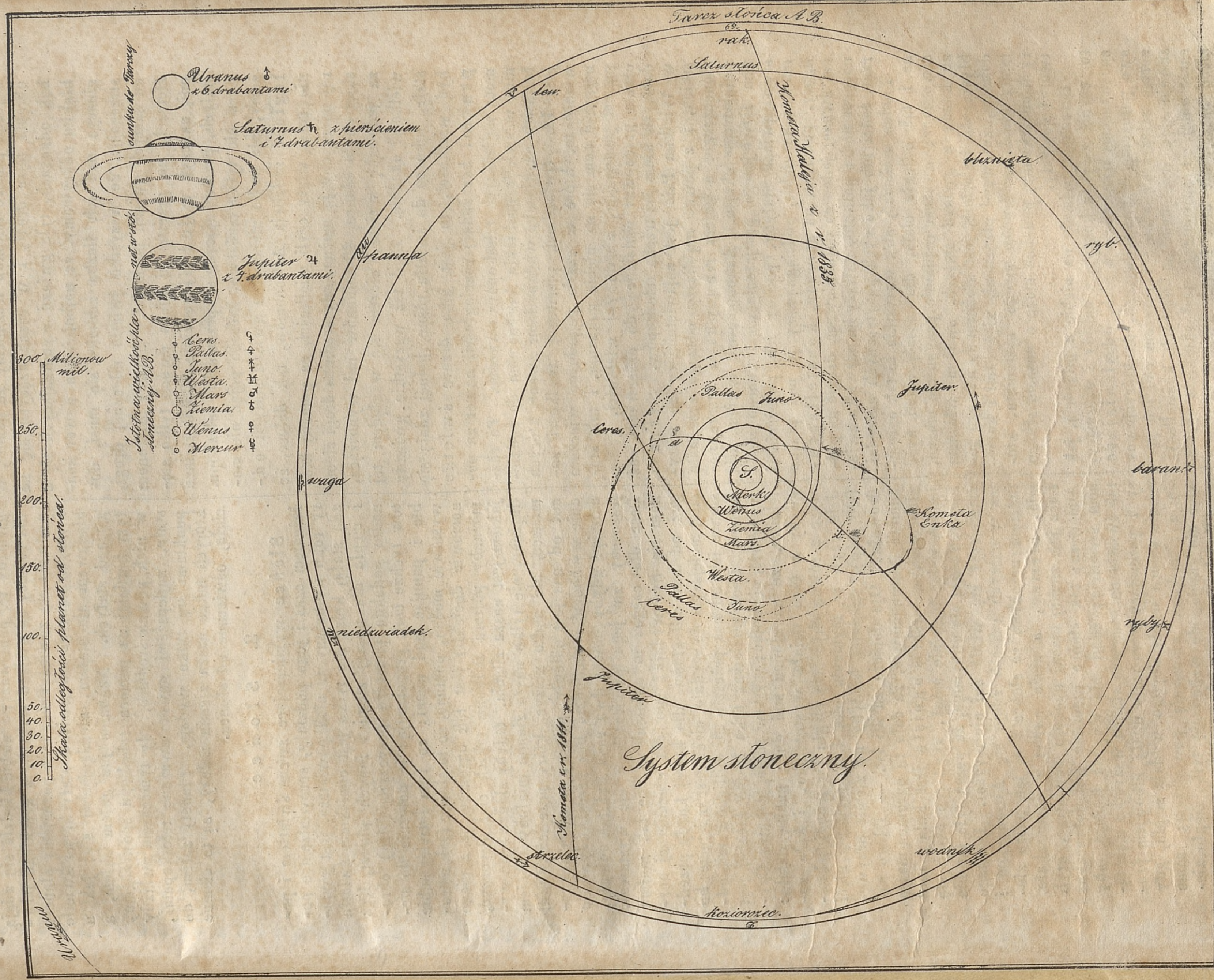
*) Nagrobek dotąd zdarzenie to zaświadcza: Hoc loco conditur corpus clari Lithuaniae Ducis Demetrii, Sanguszko ex magnifica familia Olgerdi nati, Capitanei Circasiensis et Canioviensis, quem Martinus Zaborowski trucidavit Anno 1554. Vid. Paprocki fol. 207.

Astronomia.

I. Gwiazdy stałe i planety.

Na pierwszy rzut oka wszystkie gwiazdy, które w czasie pogodnéj nocy na niebie spostrzegamy, zdają się, podobnie jak słońce, xiężyc, poruszać od wschodu na zachód; i tak sądzili Astronomowie, aż do nieśmiertelnego Kopernika. Wielki ten nauczyciel narodów pokazał dopiero i dowiódł jak najjaśniéj, że ten pozorny obrót gwiazd od wschodu na zachód, jest złudzeniem oka naszego, jak to późniéj obszerniéj wyłożymy. Gwiazdy stoją na miejscu, ale ziemia nasza się obraca około swéj osi; a nam się wydaje, że gwiazdy wschodzą i zachodzą.

Lecz pominąwszy to złudzenie zmysłów, dociekli Astronomowie (co nawet gołem okiem dostrzedz można), że po większéj części gwiazdy, przyświecające nam w ciemnéj nocy, zawsze nam się na jednem miejscu, to jest w równem od siebie oddaleniu pokazują, to jest, że są nieruchome i te nazywają się gwiazdy stałe (stellae fixae). Uderza nas najprzód ich mnóstwo, rosnące, im bardziej przybliżamy się do drogi mlecznéj:


Uranus z 6 drabantami.
Saturnus z pierścieniem i 7 drabantami.
Jupiter z 4 drabantami.
Istotna wielkość planet w stósunku do Tarczy słonecznej A.B.
Ceres.
Pallas.
Juno.
Westa.
Mars
Ziemia.
Wenus
Merkur
300. Milionow mil.
250.
200.
150.
100.
50.
40.
30.
20.
10.
0.
Skala odległości planet od słońca.
Tarcz słońca A.B.
rak.
Saturnus
Kometa Halleja z r. 1835.
lew.
bliźnięta.
panna
Jupiter.
Ceres.
Pallas
Juno.
S.
Merk.
Wenus
Ziemia
Mars.
Westa.
Pallas
Ceres
Juno.
Kometa Enka
baran.
waga
niedźwiadek.
ryby.
Jupiter
Kometa z r. 1811.
System słoneczny.
strzelec.
wodnik.
koziorożec.
Uranus

a jeżeli jeszcze teleskop weźmiemy na pomoc, w obrębie téjże drogi, i w rozchodzących się na bok odnogach, tyle gwiazd wynurzających się z błękitu odkrywamy, że najbujniejsza nawet imaginacya nad ich liczbą zdumieć się musi, dostrzegając, że wszystko światło mlecznéj drogi, od samych gwiazd pochodzi. Sławny Astronom Herszel, na przestrzeni nieba dwóch tylko stopni, naliczył w jednéj godzinie 50000 gwiazd stałych, przesuwających się przez szkło teleskopu. Lecz nie tylko mnóstwo, którego pojąć nie możemy, ale nadto niezmierna gwiazd stałych odległość zadziwia Astronomów, tak dalece, że nie masz miary czyli wielkości, za pomocą któréj mierzyćby ją można, gdy średnica drogi ziemskiéj około słońca, 40 milionów mil wynosząca, za jednostkę wzięta, niczem się względem téj wielkości okazuje. Ztąd też wszystkie gwiazdy stałe, lubo co do światła różne, jednéj zdają się być wielkości, to jest jako drżące świetne punkta, bez żadnéj rozciągłości, nawet za pomocą najlepszych teleskopów uważane. Ta różnica w świetle posłużyła Astronomom do podzielenia ich na klassy, wielkościami zwane, których jest 12. Gwiazdami pierwszéj wielkości zowiemy te, które w czasie pogodnego wieczora najprzód nam się na niebie pokazują, i tak stopniami postępując, aż do 7ej wielkości, gołem okiem przez nas widziane; do obserwacyi zaś dalszych klass już trzeba teleskopów. Syryusz w Wielkim Psie jest najświetniejszy ze wszystkich, i zapewne najbliższy naszego systematu słonecznego, a potem Kanopus w Sterze południowego okrętu. Astronomowie bowiem, dla tem łatwiejszego przejrzenia niezliczonego mnóstwa gwiazd stałych, podług ich położenia i miejsca na niebie, podciągnąwszy je pod pewne figury, podzielili na gromady, konstellacyami zwane, jedne na południowem, drugie na północnem nieba półkolu, dawszy im nazwiska zwierząt, ludzi lub jakowych pożytecznych narzędzi.

Trudno mniemać, aby wszystkie te tak ogromne i tak odległe ciała, dla naszéj ziemi były stworzone; owszem rozumnie przypuścić można, że każda z gwiazd stałych, swojem własnem błyszcząca światłem, jest słońcem do naszego podobnem, ze swemi planetami, xiężycami i kometami, każda w środku swego systematu, których mieszkańcy, podobne może o naszem słońcu tworzą domysły.

Uważając gwiazdy na niebie z pilnością, jak to czynić zwykły koczujące narody i wieśniacy, spostrzeżemy niektóre z nich, odmieniające swe położenie w konstellacyach, do których pozornie należeć się zdają: i owszem codzień posuwają się, względem najbliższych konstellacyi coraz daléj. Posuwanie to jest skutkiem obrotu ziemi naszéj, ale oraz i tych gwiazd; a przeto gwiazdy te, ponieważ po niebie błądzić się zdają dla różnicy od gwiazd stałych, z greckiego planetami się zowią. Prócz tego poznajemy planety i rozróżniamy je od gwiazd stałych, po świetle bladawem ale stałem, niemigającem się, jak u gwiazd stałych. Nakoniec już gołem okiem, a tym bardziéj za pomocą teleskopu spostrzegamy w nich pewną średnicę, gdy tymczasem gwiazdy stałe, najlepszemi nawet uważane teleskopami, punktami się tylko wydają. Planety zatem, do których także nasza ziemia należy, są to ciemne ciała, oświecane od słońca.

2. Słońce.

Słońce wymierzające swem światłem i położeniem czas i jego podziały, sprowadzające pory roku i odmiany w nich powietrza, jest gwiazdą stałą, która nie tylko jest ogniskiem światła i ciepła dla naszéj ziemi i innych planet, lecz nadto podobno pierwszą przyczyną (siłą) obrotów tychże ciał, przyciągając je potężnie do siebie i panując nad niemi: co tym łatwiéj sobie wystawić można, pomnąc, że to słońce (jak astronomowie docieklí) jest tak ogromne, iż z niego możnaby półtora milliona takich ciał utworzyć, jakiem jest nasza ziemia. Gdyby słońce było wydrążone, nie tylko nasza ziemia miałaby w niem miejsce, ale nadto xiężyc, który przecież 50000 mil od nas jest odległy, mógłby w niem wygodnie wschodzić i zachodzić bez przeszkody. Co mówię? gdyby nawet dwa razy był tak odległy, jeszczeby za jego powierzchnią nie wystawał. Lecz dla czegoż to ogromne słońce tak małem nam się być wydaje? oto dla niezmiernéj onegoż od nas odległości, dla któréj każdy przedmiot mniejszym się wydaje, niżeli jest w istocie: bo słońce jest od nas przeszło 20 millionów mil oddalone. Lecz ponieważ taką liczbę łatwiéj jest wymówić, niż pojąć; wystaw sobie, łaskawy Czytelniku, że na słońcu stoi duże nabite działo: gdyby z tego działa wystrzelono, i kula zawsze z równą chyżością biegła (w jednéj sekundzie czyli w mgnieniu oka kula armatnia uleci 600 stóp), zgadniéj kiedyby na ziemię przywędrowała? Oto dopiero za 26 lat. — Długo rozumieli Astronomowie, że cała ta ogromna massa słoneczna, na wskróś ognistą jest kulą; nikt jednak pojąć tego nie mógł, zkąd ten ogień się bierze, i czem się utrzymuje, że przez tyle lat nie zmniejszył się wcale ani nie wygasł. Dla tego też w naszych czasach zdaje się Astronomom i ludziom uczonym, że słońce jest, jak nasza ziemia, ciemne, a może nawet i zamieszkałe. Lecz jak ziemię otacza naokoło powietrze, czyli Atmosfera; tak słońce otoczone jest dobroczynnem światłem; zkąd nie wypada jeszcze, aby toż światło na samemże słońcu wszystko niszczący i pożerający sprawiało upał; albowiem promienie słońca wtedy dopiero wydają ciepło, gdy się z ziemskiem zmieszają powietrzem; same więc nie grzeją, ale wzbudzają tylko ciepło ziemi. Ze ziemia nasza ma w sobie ukryte ciepło,

i że je tylko wzbudzić czyli rozniecić potrzeba, o tem łatwo się przekonamy, trąc jedno drewno o drugie: z tego tarcia najprzód dym a potem i ogień powstanie. Nadto czyliż nie wiemy, że wchodząc na wysoką górę, im wyżéj postępujemy, a tem samem zbliżamy się do słońca, tym większe czujemy zimno? i dla tego też wierzchołki gór najwyższych, choć do słońca zbliżone, zawsze prawie śniegiem i lodem są okryte; ponieważ tam dla rzadkości powietrza, promienie słońca tak działać nie mogą, jak na dole. — To więc słońce, jest, jakeśmy wyżéj powiedzieli, środkiem i ogniskiem 11 planet, które wszystkie około niego krążą, i są mu posłuszne; a ponieważ regularnie swych biegów pilnują, i wszystko w jak największym odbywa się porządku, przeto te planety, należące do słońca, stanowiące świat oddzielny, do którego my także należymy, nazwano Systematem słonecznym. Co zewnątrz tego systematu się znajduje, już to uważamy jak gdyby dla nas nie było; i zapewne też wieczną dla nas zostanie zagadką.

3. System słoneczny.

Podług nowego a jedynie prawdziwego systematu Kopernika, słońce spoczywa w środku tego systematu słonecznego w punkcie S. (zob. figurę) a około niego krążą w coraz większych wspólnego ogniska kołach, najprzód Merkury i Wenus, które także pozornie nigdy daleko od słońca się nie oddalają, tak dalece, iż za nieodstępnych onegoż towarzyszów mogą być uważane, i dla tego niższemi planetami się zowią: z tych pierwszy rzadko bywa widziany, ponieważ światło jego niknie przed rażącemi słońca promieniami; drugi zaś, to jest Wenus, błyszczy najświetniejszym pomiędzy wszystkiemi planetami blaskiem; jest to ta gwiazda, którą po zachodzie wieczorną (vesper) a rano jutrzenką (lucifer) nazywamy. Daléj następuje Ziemia, nasze mieszkanie, otoczona na okół atmosferą powietrza, a choć nam się ciemną być wydaje, błyszczy bez wątpienia, podobnie jak inne planety pożyczonem od słońca światłem.

Po ziemi następujące planety, zowią się wyższe: z tych pierwszy Mars przeszło 7 razy mniejszy od ziemi, otoczony także atmosferą, widzialnym jest na niebie jako czerwoniawa gwiazda. Mars wiele ma podobieństwa z naszą ziemią; bez wątpienia ma także swych mieszkańców. Postępując daléj domyślali się astronomowie, że zbyteczna odległość pomiędzy Marsem a Jowiszem, próżną być nie może; i w istocie w téj przestrzeni nie jednego, ale cztery upatrzono planety, o których mniemano, że są częściami jednego większego, rozbitego przez uderzenie z innym jakim kometą lub planetą; tymczasem rachunkiem dowiedziono (Laplace) że takowy przypadek miejsca mieć nie mógł: *) Planety te zowią się Ceres, Pallas, Juno i Westa. Pierwszego z nich (Cererę, odkrył w mieście Palermie na wyspie Sycylii Astronom Piazzi w sam nowy rok 1801; drugiego (Palladę) odkrył Olbers w Bremie roku 1802; trzeciego (Junonę) znalazł P. Harding roku 1804; a czwartego (Westę) także Olbers. Wszystkie te gwiazdy są małe, w mglistéj tylko powłoce pokazujące się na niebie, a gołem okiem nie mogą być dostrzeżone. Po tych niewielkich planetach następuje w porządku systematu słonecznego Jowisz, największy ze wszystkich, błyszczący czasem na niebie tak świetnie jak Wenus: jest to ciało półtora tysiąca razy większe od naszéj ziemi: ma on cztery xiężyce czyli satellity, które posłużyły Astronomom do wyrachowania chyżości światła.

Po Jowiszu idzie Saturn, dawniéj przed odkryciem Uranusa, uważany za ostatniego planetę naszego systematu słonecznego. Gołem okiem trudno go od innych gwiazd stałych rozróżnić: bladawem tylko i mdłem przyświeca światłem, co pochodzi z niezmiernéj jego od słońca odległości. Dla Astronoma, śledzącego gwiazdy uzbrojonem okiem, Saturn przedstawia osobliwsze widowisko; ma bowiem 7 xiężyców czyli trabantów i dwa pierścienie, które się także około osi obracają, podobnie jak sam Saturn, tylko nieco wolniéj, a pochyłe onychże położenie daje temu planecie kształt podługowaty. Ale przeznaczenie tych pierścieni i natura, mimo różnych domysłów, zupełnie nam są niewiadome.

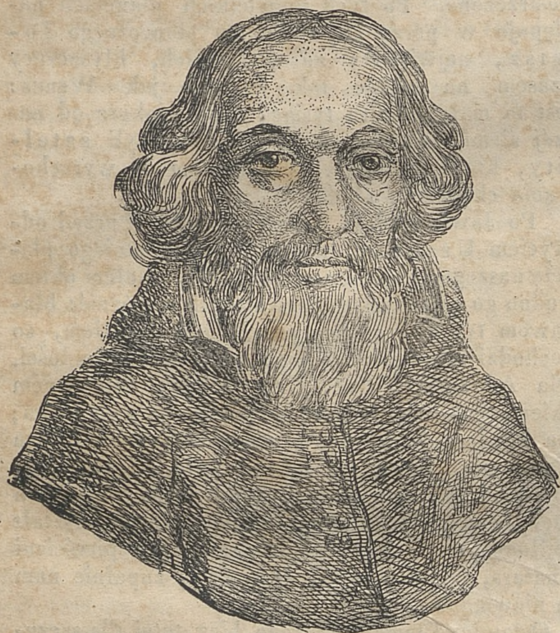
Ostatnim Planetą, którego bieg tutaj dla szczupłości miejsca, nie mógł być odrysowany, (zobacz w rogu po lewéj stronie) jest Uranus, blisko 400 millionów mil od ziemi odległy: światło jego jest dość jasne, niebieskawe, ale gołem okiem dojrzeć go trudno. Jest to planeta nowszéj daty, wynaleziony dopiero przez sławnego Astronoma angielskiego Herschla, roku 1781: kula jego jest przeszło 80 razy większa od naszéj ziemi, ma także 6 xiężyców czyli trabantów.

Wszystkie te ciała niebieskie, krążąc około słońca, obracają się razem około swéj osi; pierwszy obrót rokiem, drugi zaś dniem na tymże planecie nazywamy. Xiężyce czyli trabanty (satellites) mają bieg dwojaki, jeden około swego planety, a drugi razem z planetą około słońca.

Prócz planet, jeszcze mamy na obrazku wyrażone innego rodzaju ciała niebieskie, kometami zwane, odbywające swe biegi po przedłużonych bardzo ellipsach, a niektóre po parabolach, przeto długiego potrzebują czasu do powrotu, a inne z nich wcale nie wracają: z

*) Podróż nasza w téj świata przestrzeni, nie jest wolną od wszelkiego niebezpieczeństwa; i dla tego nie bez przyczyny każde zjawienie się komety, strachu nas nabawia. Takie zdarzenie nie jest niepodobnem; jednakże Laplace dowiódł, że można postawić million przeciwko jednemu, iż to nie nastąpi. Z resztą bądźmy spokojni, ponieważ Astronomowie ze swemi teleskopami w ręku, zawsze wiedzą, co się na niebie dzieje; i zapewne nie omieszkaliby nas uwiadomić, gdyby nam jakie groziło niebezpieczeństwo: ztąd też wszelkie tego rodzaju obawy, za płonne uważają uczeni.

tych trzy znajomsze są na figurze odrysowane. Z resztą porównaj Artykuł o kometach w Przyjacielu Ludu Nro. 10. Nakoniec po lewéj stronie figury, masz wszystkie planety ze znakami im właściwemi, w stósunkowéj względem słońca, czyli tarczy słonecznéj AB wielkości.



Stanisław Łubieński,

(Biskup Płocki.)

W dawniejszych czasach biskupie katedry w Polsce, dawano tylko mężom ojczyznie i kościołowi dobrze zasłużonym. Nieskażone obyczaje, głęboka nauka, niezmordowana praca, położone w młodszych latach zasługi, oto były zalecenia do infuły. Na urodzenie i inne względy światowe, nieuważano bynajmniéj. Ztąd pochodziło, że gdy na najniższy niemal urząd świecki wymagano dowodów szlachectwa, w hierarchii kościelnéj tylko wyższe zdolności umysłowe i cnoty, torowały drogę do najpierwszych dostojeństw. Erazm Ciołek, Marcin Kromer, Stanisław Hozyusz, Jan Dantyszek i tylu innych, pochodzili z stanu miejskiego. Każdy biskup, chociażby i do najpierwszych w kraju rodzin należał, musiał wpierw na długiéj probie w niższych stopniach kapłaństwa okazać, że kiedyś potrafi godnie powierzoną sobie dyecezyą rządzić. Takowe nagradzanie zasług sprawiało, że na biskupich katedrach w Polsce, rzadko kiedy zasiedli niegodni, lub ciemni. Z wszystkich atoli biskupich katedr polskich, płocka może się poszczycić największą liczbą uczonych biskupów. Jaśnieli na niéj cnotą i naukami Andrzéj Krzycki, Jan Chojeński, Samuel Maciejowski i wielu innych, do których słusznie policzyć należy męża, którego biografią w krótkości zebraną czytelnikom pisma naszego podać przedsięwzięliśmy.

Stanisław Łubieński, syn Świętosława, z znakomitéj familii Pomianów w Sieradzkiem i Barbary z Zapolic urodził się 1573 roku. Nauki szkólne odbył w kollegium jezuickiem w Kaliszu. Po ukończeniu ich oddany został od ojca do kancellaryi Grodu tęczyckiego, gdzie jako prosty palestrant pod okiem ojca nawykał przez cztery lata do porządku i pracy a zarazem nabierał praktycznie znajomości praw ojczystych. Po tak ciężkiéj probie przywołał go do dworu królewskiego Pstrokoński, wuj jego, zawiadujący natenczas kancellaryą królewską. Tu był Łubieński używany do pisywania listów i w tym celu towarzyszył Zygmuntowi III. w podróży, którą Monarcha ten przedsięwziął do Stokholmu dla odzyskania ojczystego tronu. Po powrocie z Szwecyi postanowił Łubieński poświęcić się stanowi duchownemu, a czując jak wiele mu jeszcze nie dostawało, aby mógł godnie odpowiedzieć obowiązkom wielkiego tego powołania, udał się na dalsze nauki naprzód do Gractz w Styryi, a potem do Rzymu, gdzie się w roku 1600 na kapłana wyświęcił. Powróciwszy do ojczyzny wszedł do kancellaryi swego wuja Pstrokońskiego, natenczas biskupa przemyskiego, i kanclerza koronnego. W nowym tym zawodzie swoim okazał Łubieński wielką zręczność w kierowaniu sprawami publicznemi. Nie było ważniejszego interessu w burzliwéj téj epoce (1606) panowania Zygmunta III. do któregoby Łubieńskiego nie używano. Negocyacye, korrespondencye i t. p. w których unikać trzeba było skompromitowania powagi monarszéj, a zarazem rozjątrzenia dumnéj i silnéj partyi Rokoszan, wszystko to opierało się na Łubieńskim. Po uśmierzeniu Rokoszu Łubieński za kilkunastoletnie prace i liczne zasługi otrzymał pierwszą nagrodę: został proboszczem katedralnym w Gnieźnie. Okoliczność ta i posunięcie Pstrokońskiego na biskupstwo kujawskie, poczem on pieczęć wielką, złożył, a potem wkrótce umarł, sprawiły, iż Łubieński opuścił dwór i osiadł w Gnieźnie. Kapituła gnieznieńska oddając hołd zasługom nowego swego członka, obrała go jednomyślnie na Deputata na Trybunał koronny.

(Koniec nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański.)